

## WŁADYSŁAW CZARNECKI

ur. 1942; Fajstówice



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	szkoła przy ulicy Długosza, dzieciństwo w Lublinie

### Okres życia w Lublinie

Było bardzo ciężko, to znaczy rodzicom, nam nie, bo my do szkoły mieliśmy niezbyt daleko. Mieszaliśmy na ulicy Jaśminowej. Jedna szkoła mieściła się przy ulicy Alei Róż, drugi budynek był przy ulicy - Bagatela wtedy się nazywała, to było gdzieś w okolicach pierwszej górki sławinkowskiej –teraz chyba Monte Cassino. [Rodzice] uczyli w szkołach, oboje oddzielnie, dla dorosłych. Wtedy się nazywała szkoła wieczorowa dla dorosłych. Mama uczyła w szkole przy ulicy Długosza, tam za szkołą podstawową jest taki długi barak. Kiedyś było schronisko młodzieżowe i tam była właśnie ta szkoła wieczorowa. A ojciec uczył w szkole na Czwartku w starym budynku, gdzie mieści się czwarte liceum. Oczywiście komunikacji nie było, znaczy była w pierwszych latach z dworca kolejowego i kończyła się przy ulicy Godebskiego. Później była linia przedłużona, ale to już parę lat później, do tej pierwszej górki sławinkowskiej. Jakiś autobus, chyba siódemka, o ile pamiętam, stawał. I rodzice na piechotę wracali - ojciec z Czwartku, mama spod Długosza. Dwudziesta pierwsza trzydziści umawiali się, że się spotkają w okolicy koszar, no i razem wracali do domu na Sławinku. A my rano szkoła, a po południu sami. I przez jakiś czas mama wynajmowała panią, czy dziewczynę do opieki nad nami. I to prawie do siódmej klasy, bo byliśmy, może nie to, że za mali, ale może niezbyt zdyscyplinowani, żeby nas samych zostawiać. Zwłaszcza, że pewnego razu zdarzył się wypadek. Nie mieliśmy oświetlenia elektrycznego, no oczywiście żadnej kanalizacji, wody i tak dalej. Ubikacja była oczywiście na dworze, kilkadziesiąt metrów dalej. I pewnego razu zdarzył się taki wypadek, że kładliśmy się z bratem spać, nie zgasiliśmy lampki naftowej. Nafta się wypaliła, rodzice przyszli, a w domu pełno dymu. No i oczywiście pobudzili nas, bo bali się zaccadzenia. Sąsiad już miał światło elektryczne, bo była linia doprowadzona, więc zaraz następnego dnia ojciec pojechał załatwiać, żeby nas przyłączyli też do prądu, żeby było bezpieczniej. Tam, gdzie obecnie jest ogród botaniczny był dziki wąwóz. Chodziliśmy się tam bawić, tam był taki olbrzymi plac ogrodzony wałami, gdzie graliśmy w piłkę. W zimie był dobry teren na zjazd na

nartach.

Rodzice od razu zaczęli się starać o mieszkanie kwaterunkowe. No i po siedmiu latach starań uzyskali mieszkanie na Bronowicach. Tam już było łatwiej, bo już było bliżej. To były lata 1955-1956, komunikacja miejska już była, tak że już było łatwiej. Ojciec uczył nadal na Czwartku, mama na Długosza, a później przeniosła się do szkoły przy ulicy Bronowickiej. Szkoły te w późniejszym okresie zostały [inaczej] nazwane, jak już nie było dorosłych do nauczania, bo przecież było masę ludzi po wojnie, którzy nie mieli wykształcenia. Nawet kojarzę kapitana wojska polskiego, który kończył siódmą klasę na ulicy Długosza. Pamiętam jego nazwisko, ale nie będę wymieniał. Później, jak zabrakło dorosłych, szkoły zostały przemianowane na szkołę dla pracujących. Wtedy zaczęły się już gorsze czasy, bo chodziło o to, że ze szkoły podstawowej był wyrzucany element niepasujący do młodzieży, która miała czternaście lat, a tam byli szesnasto-siedemnastolatki. O ile pamiętam, ci niepełnoletni nie musieli mieć zatrudnienia, bo pozostali pracowali, no i wieczorami chodzili do szkoły.

Akurat tak się złożyło, że jak zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej, do siódmej klasy, okazało się, że jest kolega, z którym chodziłem razem na Sławinku do szkoły. Bardzo dobry przyjaciel. Tak że pomógł mi się zintegrować w klasie, i potem do liceum już też razem poszliśmy. Oczywiście na osiedlu miałem kolegów, nawet organizowaliśmy turnieje piłkarskie, i grałem w turnieju tak zwanych Dzikich Drużyn. Drużyna nazywała się Huragan Bronowice. Oczywiście odpadliśmy w eliminacjach grupowych. Moja lekcja najbardziej ulubiona, to było wychowanie fizyczne, i nie mogę sobie darować, że nie mieliśmy sali gimnastycznej. W zimie, jesień, wiosna mieliśmy taką salkę wysokości normalnego mieszkania - dwa i pół metra, gdzie można było tylko jakieś ćwiczenia gimnastyczne robić, a nie ma mowy o graniu w piłkę. Dopiero jak się robiła pogoda ładna, wychodziliśmy na boisko do koszykówki i można było grać. W sumie, to próbowałem swoich sił w koszykówce, w piłce ręcznej, w siatkówce, piłce nożnej też. Tak że te gry zespołowe najbardziej mi odpowiadały.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2018-08-31, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Redakcja</b>	Piotr Lasota
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"